

To lubię!
Mariusz Kalandyk

Matrix, czyli rozliczne skutki naszego tutaj istnienia

„Świat nie jest taki zły. Świat nie jest wcale mdły. Niech no tylko zakwitną jabłonie” – śpiewała kiedyś Halina Kunicka. Kto to jeszcze pamięta? No – mdły to już na pewno nie jest. Chyba że się pochorowało na kowida i ma sensacje związane z zakażeniem. Tzw. okołożołądkowe. W takim stanie świat niekoniecznie jednak wydaje się być – zupełnie i bez reszty – zły.

Ot – dialektyka!

Piosenka traktuje o świecie konsumpcji na miarę czasów – powiedzmy – z wczesnego *Misia*. O świecie z marzeń w gospodarce niedoborów. O pogodnym wpływie zapachu kwiatów jabłoni na psyche i o jej odmiennych stanach świadomości. Wszak z maryni w czasach owych zaprzyszłych kręcono tylko sznury konopne na potrzeby gospodarki morskiej. Nikt nawet nie myślał o brawurowych próbach inhalacji. Matrix miał formę pogodną, elegancją i mało konfliktową. Był odmianą średniowiecznej Kukani, gdzie gorące kiszki – dosłownie – spadały z nieba,

a pola zbóż rozmaitych grodzone były kielbasami.

I komu to przeszkadzało?

Ów stan delikatny mentalnego dziewictwa i niewinności poznawczej trwał chwilę tylko i zostawił – jak to z utopiami bywa – trochę złudzeń, trochę ruin, dużo banknotów o wartości minimalnej i potencjał zbrojny nadający się w sam raz dla hut i metalurgii. Zostawił jeszcze w świadomości każdego z nas, żyjących wówczas, drzazgę nieufności, otorbioną, jak u Maćka z Bogdańca fragment bełtu, zadrę podejrzliwości, że to, co się toczy, będzie odtąd mało stabilne, nieprzewidywalne i groźne. A bobrów było wtedy jak na lekarstwo!

Dwadzieścia pięć lat później siedzę w otoczeniu zasadniczo odmienionego rekwizytorium i patrzę. Mój idealizm, nieco przytępiony, podziwia przestrzenie różne takie indyferentne, podane nam do wierzenia, by stabilizowały rozchwiane ramy nowej technologicznej, ale i ontologicznej, opowieści. Otoczeni (traktujmy to słowo również militarnie) ekranami

i ekranikami przeróżnego kalibru i maści zaczynamy podejrzewać, że ktoś się nami zaczyna nieładnie bawić. Staliśmy się, bez żadnych wcześniejszych uzgodnień, powolnymi aktorami a scena, na której występujemy, jest wirtualnie pomalowana dwoma rodzajami sympatycznej farby: tej adekwatnej i tej na użytek wewnętrzny, żeby nam oko nie zbiełało ze zdziwienia.

To nie skrzydlaty koń sprawił, że mamy poczucie ciągłej inwigilacji, więc gdy przyfrunął, nawet nie byliśmy nadmiernie zdziwieni. Po prostu anonimowa przemoc nagle się ukonkretniła i odsłoniła kilka rumianych twarzy. Wiemy już, że ma to charakter zarówno polityczny, jak i systemowy. Powiem więcej, skrzydlaty koń brutalnie odsłonił skrywaną w podświadomości prawdę. Oto na naszych – najdosłowniej – oczach dokonano nowego potasowania kart, które nazywamy rzeczywistością. Na naszych oczach rozpadają się bezpieczne konwencje oraz ustalone reguły waloryzacji tego, co uznajemy za realne. Jesteśmy aktorami nowego typu: wirując na obrotowej scenie, ukazujemy się – jak w kubistycznych obrazach – w wielu płaszczyznach naraz. Jednocześnie zwijamy przestrzeń i ją multiplikujemy; podważamy fizyczne parametry czasu i sprawiamy, że możemy żyć jednocześnie w kilku umownych temporalnych trybach.

Kreujemy równoległe narracje w porządku analogowym i w wymiarze VR. Już nawet nas to nie dziwi. Gorzej – przestajemy nań reagować; nie zauważamy owego skotłowacenia.

Matrix nam spowszedniał.

Nie wiem, czy pamiętacie Państwo powtarzającą się kilkakrotnie w filmach braci/siostr Wachowskich scenę charakterystyczną. Otóż agent Smith, jak to wirus, multiplikuje się w sposób masowy, wchodząc w wirtualne jestestwa osób znajdujących się w bezpośrednim sąsiedztwie. Znienacka zamiast Johna, Oliwii, Ester widzimy zakazaną gębę osobnika w ciemnych okularach. Ostatni film z serii pokazuje nowy wariant „przejęcia” wirtualnych ciał. Ma ono charakter zdalny. Ten sam John budzi się nagle w nocy, nie słucha przerażonej żony i pod wpływem impulsu wyskakuje przez okno, stając się „żywym” pociskiem.

Tymczasem przyjaciele z Facebooka, jego hiperzamożni właściciele, planują stworzenie nowego raju – Metaverse – przestrzeni wirtualnego życia, analogicznego do tego, które jest obecnie udziałem obywateli w tzw. realu. To tam przeniesiemy się z naszymi emocjami, marzeniami, pracą, nauką i sztuką. Wykreujemy awatary stokroć od nas atrakcyjniejsze, wybudujemy nowe domy i wymyślimy nowe ustroje, style życia, zabawy i wypoczynku. Brzmi nieźle, prawda?

Brzmi fatalnie, choć w niedalekiej przyszłości się spełni.

Jeżeli ktoś wymyślił nowoczesne piekło, jest nim Zuckerberg i spółka. Najgorszy jest fakt, że owe zapowiedzi właściciela Facebooka obeszły niewielu ludzi. Konferencja dotycząca Metaversum zainteresowała około dwadzieścia tysięcy osób. Nowe sztuczne raje mogą okazać się miejscem niespotykanego wyzysku, manipulacji, nowych form niewolnictwa i poddaństwa, o których najbardziej psychopatycznym osobnikom do tej pory nawet się nie śniło. Skoro jednak można zapakować

w eleganckiej formie nowe algorytmy przemocy, czemu nie próbować? Zasoby mineralne matki Ziemi są na wyczerpaniu, klimat się waha, miasta duszą się w smogu, pandemia zamyka nas w domach. Wejście w *virtual reality* wydaje się mądre i rozsądne...

Pójdźmy więc tam szeroką wirtualną drogą, wejdźmy do wirtualnych sal pracy, rozgoścmy się. Agent Smith już tam jest. Czeka. Uderzy, gdy nasze podrasowane elektroniką mózgi zamienią się w zakalec.

Mariusz Kalandyk